

Instytut Pamięci Narodowej - Archiwum

<https://archiwum.ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/65866,Jozef-Lobodowski-Poeta-zaangazowany.html>
04.03.2026, 04:34

Józef Łobodowski: Poeta zaangażowany

Kazimierz Wierzyński debiutował w roku 1919, a więc twórczość jego obejmuje całe półwiecze. W ciągu tych pięćdziesięciu lat wydał, nie licząc prozy, przeszło dwadzieścia tomów wierszy.

Pośmiertnie mają wyjść jeszcze dwa. Poeta zmarł w 75-tym roku życia. Czy można zatem mówić o zgonie przedwczesnym?

Dla jego rówieśników czy też dla nieco młodszych, którzy z przejęciem i zachwytem chłonęli pierwsze zbiory wierszy na ławie szkolnej, w owym okresie ogromnej poczytności poezji Polski ledwie odrodzonej, Wierzyński pozostał na zawsze autorem przede wszystkim „Wiosny i wina”, „Wróble na dachu”, „Pamiętnika miłości”, „Lauru olimpijskiego”. A więc poetą młodzieńczego optymizmu, upojenia życiem, ekstazy miłosnej, urody i tężyzny fizycznej. To zrozumiałe. Dla starszej już pani, która w latach dwudziestych wpisywała do pensjonarskiego sztambucha koleżanki – i jej wpisywano – „wiosna i wino: dwa, płuca oddechem młodym wezbrane...”, albo „jeno radości, radości, radości...” albo „w słonecznym blasku pozostał stopy twojej ślad...”, tamte przeżycia, tamte wspomnienia są najważniejsze. Do tego stopnia, że Wierzyński dojrzwały, pochylający się nad sensem istnienia, nad tragiczną maską historii, cóż dopiero, wieloletnim wysiłkiem zmieniający, odnawiający swój warsztat twórczy, stawał się mniej ważny, nieautentyczny, ba zdradzający własną młodość.

Zdarzały się i zdarzają nieporozumienia dość kompromitujące. Ktoś z wysokości swej awangardowej zarozumiałości napisał – już po „Korcu maku” i „Siedmiu podkowach”! – że Wierzyński nic się nie zmienił od czasów „Wiosny i wina”, że powtarza się nieustannie i kalkuje samego siebie. Inni, przeciwnie – mieli poecie za złe, że zmienia się za nadto, że rozluźnia swój wiersz, odchodzi od tradycyjnej strofy, słowem, że jego poetyckie oblicze staje się inne, nieraz nie do poznania, a oni już tak się przyzwyczaili do dawnego! Trzeba się było zdobywać na wysiłek, by tamtego dawnego Wierzyńskiego rozpoznać w tym nowym, a wielu takiego wysiłku nie lubi.

Między „Wiosną i winem” a „Czarnym polonezem” – dystans olbrzymi. Wierzyński jest przykładem poety ciągle rozwijającego się, ciągle idącego naprzód. Owszem, jego droga twórcza niekiedy załamywała się pod ostrym kątem, nieraz schodziła w dół, zatrzymywała się na skraju urwiska, aby zaraz grzbietem niespodziewanego mostu przerzucić się na drugi brzeg, znowu pięła się w górę. Przy wszystkich zahamowaniach i postojach jej kierunek prowadził wzwyż. Oto dlaczego na pytanie, zadane na wstępie, należy odpowiedzieć potakująco: tak, to był zgon przedwczesny!

Bywają poeci, którzy przeżywają własną twórczość, umierają na długotrwałym, bezpłodnym

biwaku; tu odwrotnie – idący wciąż naprzód pisarz miałby jeszcze wiele do przewędrowania i wiele do odkrycia. A idąc, umiał pozbywać się niepotrzebnego balastu, utrudniającego mu krok na innych, mniej szczęśliwych etapach.

Ile przełomów i odnowień przeżył Wierzyński, ile milowych słupów pozostawił po sobie. Już „Wielka Niedźwiedzica”, wydana w cztery lata po debiucie, zaskoczyła wiernych wielbicieli „Wiosny i wina”. Ukazało się po raz pierwszy inne oblicze złotowłosego młodzieńca: skupione, ze zmarszczoną brwią, czujnie wsłuchane w podziemne tętent wydarzeń i niejasnych wróżb. I także po raz pierwszy poeta wejdzie na ścieżkę historiozofii, mającą wkrótce zamienić się w szeroki, bity trakt.

Ale po „Wielkiej Niedźwiedzicy” przyszedł „Pamiętnik miłości” (1925) i „Laur olimpijski” (1927). Czytelnikom mogło wydawać się, że nastąpił nawrót do uniesień i ekstaz pierwszego okresu. Było to złudzenie. W 1929 Wierzyński wydaje jednocześnie dwa szczupłe objętością, ale ważne zbiory: „Rozmowę z puszcza” i „Pieśni fanatyczne”. Nieco później debiut prozatorski, zbiór opowiadań wojennych pt. „Granice świata” i wreszcie „Gorzki urodzaj” (1933).

Już same tytuły tych książek świadczą dobitnie o dokonywujących się przemianach. Gdy po raz pierwszy postawiono kandydaturę Wierzyńskiego do Nagrody Państwowej, której wtedy nie otrzymał, Jan Parandowski, będący członkiem jury, zgłosił votum separatum przeciw przyznaniu nagrody Jerzemu Szaniawskiemu. Nie mam odpowiedniego tekstu pod ręką, ale pamiętam dokładnie jego treść. Parandowski zwracał uwagę na ciągle postępujące pogłębienie twórczości Wierzyńskiego, mówił o tym, jakie przejmujące wrażenie wywołuje śledzenie tych przemian: od młodzieńczych upojeń i zachłystywania się urodą życia i świata do podjęcia problematyki, w której troska społeczna i zaduma historiozoficzna sprowadzane są do wspólnego mianownika – tragicznych losów człowieka. Parandowski swoje votum separatum zakończył oświadczeniem, że w zestawieniu z tym coraz bardziej potężniejącym pisarstwem twórczość Szaniawskiego przesuwają się „wdzięcznym floresem ku marginesom literatury”, i najpewniej miał rację.

Śmierć Piłsudskiego wstrząsnęła poetą. W rok później ukazał się poemat „Wolność tragiczna”, poświęcony w całości życiu i czynom Marszałka. A na rok przed wojną „Kurhany”, zbiór mrocznych zaklęć i wróżb, wywoływanie wielkich cieni: księcia Józefa, Mickiewicza, Szopena, Conrada... W obydwu książkach, podobnie jak w „Barbakanie warszawskim”, zaczętym w roku 1938 a ukończonym jesienią 1939, już po klęsce wrześniowej, na bruku emigracyjnego Paryża, historiozofia narodowa święci swój najpełniejszy tryumf.

Nie piszę tu pośmiertnego panegiriku, pragnę dać miarę poetycką Wierzyńskiego bez żadnych ustępstw na rzecz sentymentu osobistego i bez liczenia się ze świeżą jeszcze po nim żałobą. Sądzę, że „Wolność tragiczna” i „Kurhany” były poetyckim zatrzymaniem się na drodze rozwojowej; jest w nich – obok świetnych fragmentów – zbyt wiele retoryki, patosu, a nawet pseudoklasycznych reminiscencji. Nie ustrzegła się tych obciążeń i

wojenna liryka poety, kulminująca w tomie „Krzyże i miecze”.

„Muzo, nie lękaj się hałasu broni...” – to było zbyt retoryczne, aby było prawdziwe. Tak, ale w tym samym czasie Wierzyński napisał „Via Appia” i „Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny...”, „Nocną modlitwę” i „Do moich zmarłych”, i kilkanaście innych wierszy, które stały się najwyższym poetyckim wyrazem polskich zbiorowych przeżyć, nadziei i rozczarowań. I miał pełne prawo, zwracając się do swej najważniejszej książki o wojnie, na ostatniej stronie wypisać te lapidarne, a zarazem dumne słowa: „zostań dla żołnierzy!”.

Po tragicznym dla nas zakończeniu wojny Wierzyński milczał przez jakiś czas, z rzadka tylko drukując luźne wiersze w emigracyjnych czasopismach. Aż w roku 1951 – „Korzec maku”. Sądzę, że ten najobszerniejszy, blisko sto utworów lirycznych zawierający tom jest najwyższym osiągnięciem poety. Napisał w latach późniejszych niejeden świetny wiersz, ale jako całość „Korzec maku” świadczy jego poetyckiej wielkości najpełniej i najdoskonalej.

Odnowienie warsztatu poetyckiego u schyłku lat pięćdziesiątych zapowiadało nowe osiągnięcia. Na ostateczne spełnienie tych zapowiedzi zabrakło życia. „Czarny polonez” był dla wielu czytelników niespodzianką. Zapomniano, a może nie zauważono, że w poprzedniej twórczości Wierzyńskiego niejednokrotnie zjawiała się gwałtowna inwektywa, ostry persyflaż, gniewny pamflet.

•

Ponieważ ludzie lubią katalogować, do Wierzyńskiego przylgnęła etykieta z napisem „skamandryta”. Etykieta ta straciła swoją wymowę jeszcze przed wojną, a już w ostatnich latach naprawdę nie miała żadnego sensu. Odpowiadając na próby katalogowania czy przyszywania do jednego tylko pokolenia poetyckiego, Wierzyński najlepiej scharakteryzował sam siebie:

O pokoleniach nie.

Gdzie, do jakiego ja należę?

Ja jestem Z lotu ptaka.

Doświadczony i hardy.

W skrzydłach mam przeszłość i przyszłość,

na czele własnej mej awangardy

odnawiam własną mą niezawisłość.

Każdy pisarz, choćby udawał najbardziej skromnego, zawsze jest pewny swej wartości i przeważnie przesadza w jej ocenie. W zacytowanych słowach Wierzyńskiego nie ma żadnej przesady. Naprawdę wyszedł ponad swoje pokolenie, naprawdę sam dla siebie stał się

niepowtarzalną awangardą. Nie wiem, czy znał piękne powiedzenie Leonarda da Vinci o łasce twórczej, którą Bóg zsyła za cenę stałego wysiłku. Znał, nie znał – tak właśnie postępował. Był Wierzyński, co należy specjalnie podkreślić, poetą głęboko zaangażowanym. Boleśnie przeżywał kryzys współczesnej Polski, rozdieranej konfliktami, zagrożenie zachodniej cywilizacji, wreszcie tragedię własnego narodu, pokonanego przez sprzysiężone siły zła, wykrwawionego w bohaterskiej walce, oszukanego i zdradzonego. Ale nie było w tym nic z przysłowiowego „słoń a sprawa polska”. Ta sprawa była dla niego po prostu najbardziej newralgicznym punktem ogólnoludzkiego dramatu, splotem słonecznym najboleśniej napiętych nerwów. „Jeśli padnie Warszawa – pisał we wrześniu 1944 roku – to nie miasto padnie... lecz wolność w s z y t k i c h ludzi...”. Sprawa narodowa była dla niego zawsze przedłużeniem troski o zachodnią cywilizację, o której losach myślał i pisał z najwyższym niepokojem.

Nic więc dziwnego, że wiadomość o jego zgonie wywołała natychmiastową, i właśnie taką a nie inną, reakcję na łamach naczelnego literackiego organu komunistycznego reżymu, w warszawskiej, o ukradzionym tytule, „Kulturze”. W imieniu czerwonych uzurpatorów towarzysz Wilhelmi wyszczał nad świeżym grobem epitafium godne cmentarnej hieny. Ukryty pod maską fałszywego współczucia, pewny bezkarności – bo któż zaprotestuje? – przekreślił całą emigracyjną twórczość Wierzyńskiego, umieścił ją w pustce, skazał na zapomnienie. Zemsta za „Czarny polonez”? Może. Ale przede wszystkim źle hamowana wściekłość, że t a k a p o e z j a powstała i bujnie rozrosła się poza krajem, na politycznej emigracji, poza zasięgiem ich władzy, poza i p r z e c i w ich „polityce kulturalnej”. Literackim żandarmom trudno przeboleć, że nie byli w stanie zagłuszyć poetyckiego głosu wolności. Wilhelmi zatroszczył się obłudnie o przyszłe losy twórczości Wierzyńskiego. Nie podzielamy tej troski. Wróci do kraju prędzej czy później, rozbije wszystkie szlabany, rozwali roгатki graniczne, by włączyć się zwycięsko w duchowy krwiobieg wyzwolonego narodu.

Józef Łobodowski, *Poeta zaangażowany*, „Kultura” 1969, nr 4/259, s. 9-14.